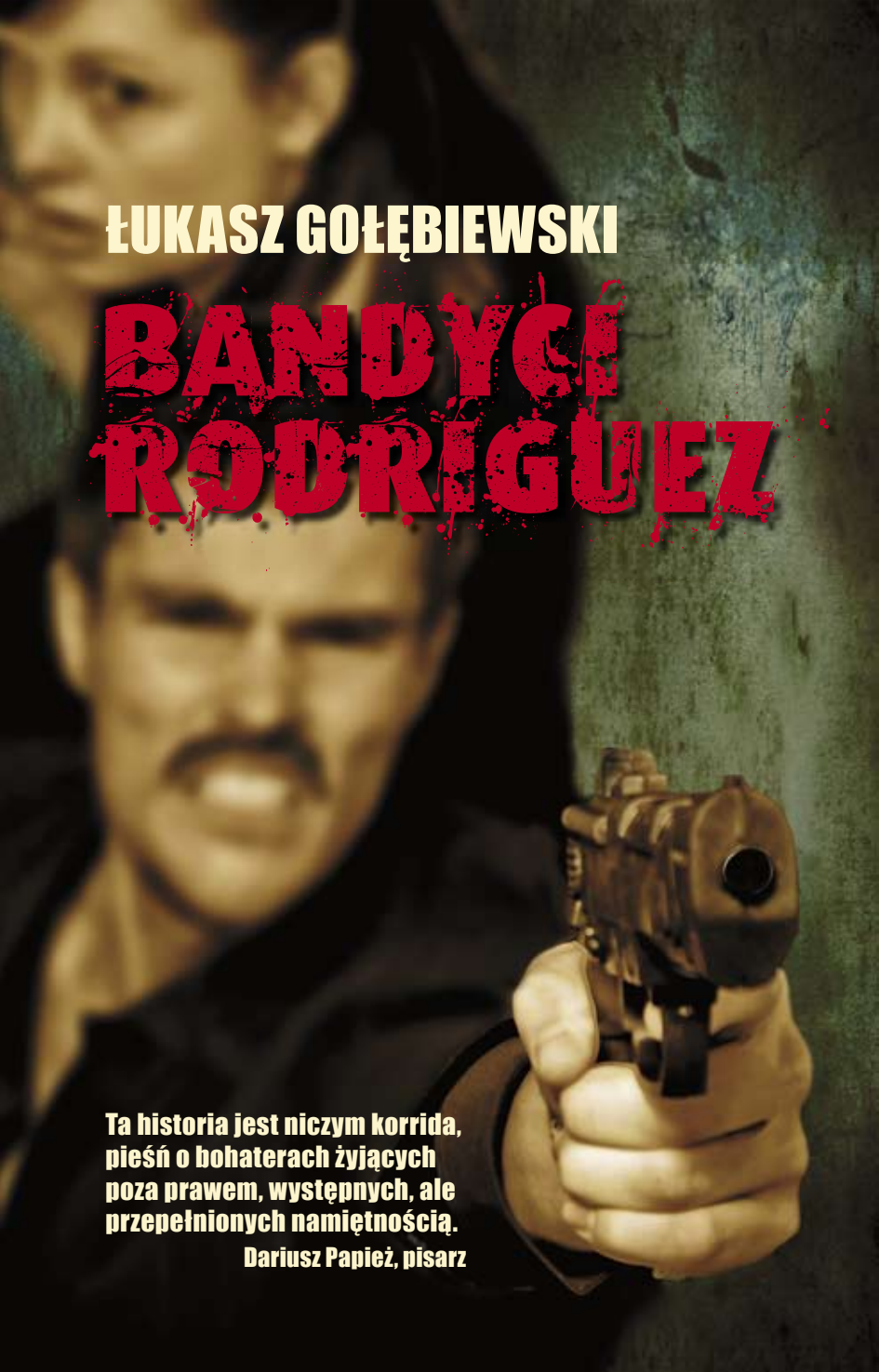


A man with a mustache, wearing a dark jacket, is holding a handgun. The background is a textured, mottled green and brown. The man's face is in the foreground, slightly out of focus, while the handgun is in sharp focus in the lower right.

ŁUKASZ GOŁĘBIEWSKI

BANDYCE RODRIGUEZ

**Ta historia jest niczym korrida,
pieśń o bohaterach żyjących
poza prawem, występnych, ale
przepełnionych namiętnością.**

Dariusz Papież, pisarz

**BANDYCA
RODRIGUEZ**

BANDYCI RODRIGUEZ

KORRIDA

ŁUKASZ GOŁĘBIEWSKI

Jirafa Roja
Warszawa 2013

© Copyright by Łukasz Gołębiewski, 2013

© Copyright by Jirafa Roja, 2013

Redakcja: Hanna Kukwa
Łamanie: Tatsu  tatsu@tatsu.pl
Projekt okładki: Agnieszka Herman
Zdjęcie na okładce: fotolia.com
Mapa: Ewa Sabała

ISBN 978-83-62948-96-3

www.jirafaroja.pl

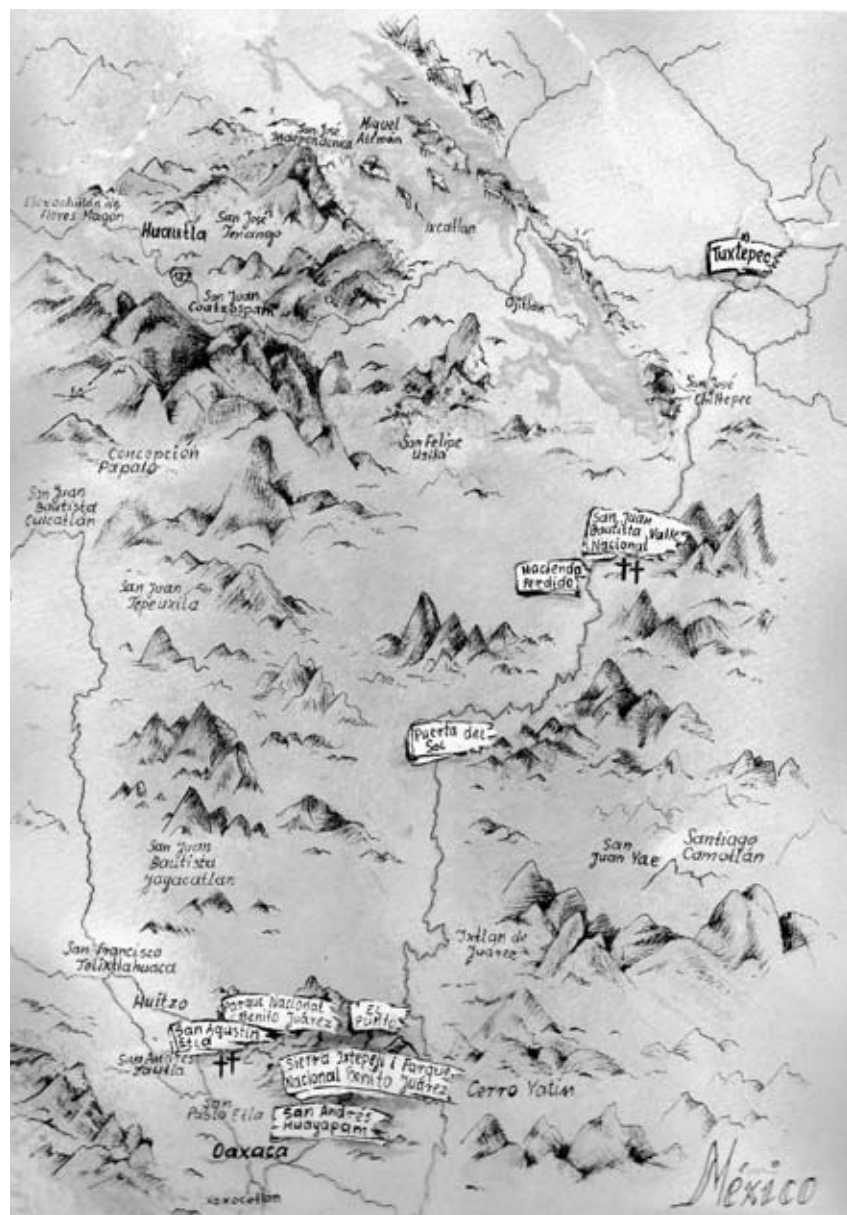
Wydanie I

Warszawa 2013



*Człowiek jest jedyną istotą, która kopuluje twarzą w twarz,
patrząc na swojego partnera. (...) Mężczyzna może więc
w oczach kobiety zobaczyć rozkosz lub przestach,
miłość lub lęk; ludzka jaźń odsłania się wtedy do końca.
Sposób kopulowania oznacza pojawienie się człowieka
jako istoty psychicznej, przejście od zwierzęcości
do człowieczeństwa. Nawet małpy kopulują „tyłami”
Rollo May Miłość i wola*

*Zbrodnia jest cnotą ubogich
Carlos Fuentes Wola i fortuna*



1.

**Sobota, 12 października 1996,
przed południem, Tuxtepec**

Nie znam uczucia litości. Nie dla ludzkich śmieci. Często czuję wstręt, pogardę, czasem gniew, czasami pragnę zemsty.

Ten skulony pod kaloryferem bydlak, który teraz trzęsie się jak galareta i wybałusza na mnie czerwone jak u królika gały, jeszcze niedawno zgrywał chojraka. Tacy oni są, odważni w grupie, a jak przychodzi co do czego, to mają mokro w gaciach i nawet nie próbują się bronić. Liczą, że skowytem zmiękcza serce. Nie moje. Nie jestem czuły na rozpaczliwe błagania. Odwrotnie, brzydzą mnie i nudzą. A ten mnie brzydzi szczególnie. Obraził mi siostrę, potem uciekł jak tchórz, a teraz jak skończony dureń dał się zwabić w pułapkę.

Durnie nie zasługują na litość.

— Pedro, spójrz na mnie i słuchaj uważnie, a może czegoś się jeszcze nauczysz. Jesteś gorzej niż wsza, jesteś *hijo de la chinga*, wiesz, co to znaczy? Twoja matka obciągała druta najgorszym śmierzdielom, a ty jesteś bękartem jednego z nich. Zgadza się, Pedro?

Z ust cieknie mu ślina, a po ciemnych policzkach pomarszczonych jak wyschnięte winogrona — łyzy. Nic nie powie, nie

krzyknie, może co najwyżej się zapluć, bo narkotyk sparaliżował mu krtań. Nie potrzebuję jego głosu, chcę tylko wymierzyć karę.

Ten gnój na podłodze to Pedro Ximenez, drobny handlarz crackiem, co to opłaca się gangsterom i policjantom, zaopatruje się w towar w *tienditas*, w sklepikach, niczym sprzedawca warzyw, i żyje w ciągłym strachu o uciulanych kilkanaście tysięcy dolców. Lubi jednak zgrywać bohatera. Panisko w swojej wsi. Mafioso w plastikowych okularach przeciwsłonecznych, który pewnie nawet nie wie, jak przeładować Kałasznikowa. Przyjechał na moje zaproszenie z La Venta, to kawałek drogi. Pazerny głupiec, jechał trzy godziny, żeby teraz troszkę sobie pocierpieć. Nie lubię frajerów, a zwłaszcza frajerów, którzy obrażają moją siostrę, bo normalnie nie zwracam na nich uwagi, powietrza wystarcza dla wszystkich. Ten prosił się jednak o uwagę, chciał prywatnego spektaklu, to go ma. Proste. Długo nie czekał. Ledwie przedwczoraj zaczął Rositę w Cárdenas, jechał knur z bandą naćpanych wiejskich cwaniaków i krzyczał na dziewczyny, wystawiając obrzydliwą czerwoną głowę z obdrapanego kabrioletu, taki to *macho* z niego. Oni wszyscy są *macho* na odległość, z samochodu i wśród kolegów, a gdy im przystawisz lufę do ust, srają pod siebie. Podjechał blisko i klepnął ją w tyłek jak dziwkę, myślał, że może klepać Rositę Rodriguez bezkarnie, ale pomylił się bardzo. Nie może, i będzie żałował, że to zrobił. Rosa na miejscu odstrzeliłaby skurwielowi jaja, ale jak zobaczył, że wyciąga rewolwer, docisnął gaz i zwiął wzniecając tuman kurzu. Tchórz myślał, że mu uszło płazem, że było, minęło, nic się nie stało, że to był kolejny świetny żart. Nie taki świetny. W miasteczku dobrze go znali i wcale nie kochali. Spytałem pierwszego świadka, właściciela baru przy Avenida San Juan, i już wiedziałem wszystko

o czerwonoskórym playboyu, synu *chingi*, Pedro Ximenezie. A potem wystarczyło posłać mu tysiąc peso wraz z karteczką, z adresem tego hotelu w Tuxtepec — przyleciał tu jak mucha do gówna, myśląc, że ma nowego klienta na swój brudny towar. A tu niespodzianka, my nie bierzemy, nie sprzedajemy i nie kupujemy, przykra sprawa, zysku nie będzie. Ale może boleć. Tyle zrozumiał od razu, bo chłop pobladł na widok jej pięknej siostrzyczki, kiedy godzinę temu wszedł do pokoju w tych swoich żalosnych mokasynach z podkreconymi noskami, dekatyzowanych dżinsach i czerwonej rozchełstanej koszuli w stylu *buchones*.

— Jesteś, Pedro, śmieciem, ale nic ci nie zrobię, wyjdiesz stąd, tak jak wszedłeś, tylko musisz najpierw przeprosić moją siostrę. Taka drobnostka, którą chyba jesteś jej winien — mówię do niego cicho i prawie uprzejmie. A jemu tylko ślina z ust ścieka na podłogę.

Ekscytuje mnie spokój Rosity. Leży na łóżku i kartkuje folder turystyczny, który ktoś tu przed nami zostawił. Nawet nie patrzy na zapłuty, spocony, brudny pysk Indianina. Nie rozumiem, jak ten śmieć mógł być tak głupi, żeby ją zaczepić. Brak instynktu. I samokrytycyzmu też. A Rosa rozkosznie się przeciąga.

We mnie spokoju nie ma. Nigdy. Muszę działać, bezczynność to dla mnie śmierć.

— Oj Pedro, nie rozczarowuj mnie. To chyba korzystny dla ciebie układ? Mówisz przepraszam i *hasta luego*, nikt nie będzie żywił do ciebie urazy. Zostanie ci wybaczone, zwłaszcza że przyjechałeś tu do nas sam, z własnej woli. Doceniam trud. Ale nie lubię zwlekać, więc radzę, pospiesz się, bo gotów jestem pomyśleć, że nie traktujesz mojej siostry z należytym respektem. A może tak właśnie jest, co? Może wciąż uważasz, że to uliczna dziwka? Może myślisz, że wszystko

jest w porządku, że nie musisz za nic przepraszać? Robię się zły, Pedro, kiedy milczysz. Wiesz, co robię, jak jestem zły? Wiesz co? Kurwa, zaraz się przekonasz.

Przeszkłone rozbiegane czarne oczy i charkot. To nie są przeprosiny. A mnie Pedro już bardzo nudzi.

— Zapomniałeś języka, Pedro? Skoro zapomniałeś, to pewnie nie jest ci on już potrzebny.

Przygotowałem się na ten mały teatrzyk, show, specjalnie dla mojej Rosity. Pedro Ximenez w roli gwiazdy. Obecęgi kowalskie w roli rekwizytu. Ja w drugoplanowej roli oprawcy.

— Nasz mały Pedro przeprosi czy zaśpiewa? — pytam szeptem i pokazuję mu nowiutkie, kupione wczoraj w sklepie żelaznym szczypce do cięcia prętów. Mają długie pomarańczowe ręczki, a na końcu ruchome czarne ostrze, twarde i mocne. On pluje i dygoce, próbuje coś wybełkotać, zasłonić się rękoma, ale nawet nie ma siły zacisnąć dłoni, bezwolny i słaby jak szmaciana lalka. — Biedny brzydki Pedro niemo-
wa. Zaszczął dekatyzowane džinsy.

Wpycham mu narzędzie do gardła, a on tylko wytrzeszcza oczy, bo nawet zębów nie jest w stanie zacisnąć, rozszerzam szczękę i chwytam w kleszcze obrzydliwy różowy jęzor. Klik i już po wszystkim. Pedro zalewa się krwią i mdleje.

Durnie nie zasługują na litość. Durni trzeba karać, żeby nabierali więcej rozsądku.

— Musimy kiedyś znów pojechać na plażę Escondida, są tam teraz chatki do wynajęcia — Rosita odrywa się od folderu, ma najpiękniejszy na świecie uśmiech i niczego nie potrafię jej odmówić.

— Oczywiście siostrzyczko, pojedziemy tam choćby i w przyszłym tygodniu — z wdzięcznością się uśmiecha.

Zemdlalego i cuchnącego moczem Pedro ciągnę do kabiny prysznicowej, otwieram zimną wodę, niech się trochę odświeży i ocuci. Ucięty język wrzucam do kibla i spuszczam wodę.

— Chodź Muxo — wołam kotkę, która właśnie zeszła z fotela i obwąchuje niewielką plamę krwi na wykładzinie. — To niedobre, chodź, dostaniesz ciasteczko.

Muxo to moja radość, moja miłość, mój raj. Wtulałam twarz w jej pachnące gwiazdami futerko. Drobną, z czarnym aksamitnym noskiem i długimi wibrysami, jeden nieparzysty zabawnie zakręca jej się nad brwią, ma ciekawe światła, piękne oczy, źrenice jak obsydian i tęczęwki jak jadeit, perfekcyjne połączenie barw. Płowe puchate futerko, na każdej łapce białe skarpetki i takie śmieszne włoski wokół pazurków. Czarny ogon jest rozłożysty jak u wiewiórki. Moja piękna dziewczynka. Nigdy się nie rozstajemy.

Wkładałam Muxo do wyścielonej mięciutkim pościelaniem klatki. Czas na nas. Rosita odkłada foldery, poprawia białą bluzkę, która seksownie opina się na tych piersiach twardej i gładkiej jak marmur. Kilкома szybkimi ruchami zaplata warkocz, szminkuje usta. Do torebki wsuwa Colta Python 357, broń, którą mogłaby na wylot przestrzelić ścianę, zabawka w sam raz dla młodej damy. Gasimy światło, pod prysznicem pozostawiam lecącą wodę. Przekręcam klucz, opuszczamy pokój numer 20 hotelu Mirador.

* * *

W Ricardzie najbardziej cenię jego poczucie humoru. Uwielbiam obserwować, jak z trudem opanowuje rozsadzające go emocje. Jest wulkanem, ale nigdy nie wpada w panikę. Na

moim braciszku zawsze mogę polegać i znam go lepiej niż samą siebie. Dobrze jest mieć bliźniaka.

Schodzimy do małego zimnego holu tego obscurnego hotelu. On idzie przodem, sprężystym krokiem, męski, dobrze zbudowany, zdecydowany. W holu klimatyzacja ustawiona na *máximo*, kościotrup by tu zamarznął, ale gekonowi, który śpi na ścianie, najwyraźniej nic nie przeszkadza. Muxo, kotka Ricarda, na punkcie której ma fioła, miauczy niespokojnie w klatce. Urodziła się na jego rękach i wykarmił ją, podając jej do pyszczka przez strzykawkę mleko dla niemowląt. Nigdzie się bez niej nie rusza, po kieszeniach nosi kocie ciasteczka, a ja na wszystkich ciuchach mam kocie klaki. Jest jednak coś uroczego w tym jego przywiązaniu do zwierzaka, traktuje ją tak, jakby była jego dzieckiem.

— *Buenos días señor* Rodriguez — stary karzełkowaty portier z brodawką na nosie szczerzy poźółkłe od tytoniu zęby. — Jak się państwu spało?

— Doskonale — odpowiada z uśmiechem mój braciszek, podkręca wąsy i wręcza portierowi klucz, odlicza banknoty, czterysta peso, po chwili dodaje jeszcze pięćdziesiąt. — Trochę nabrudziliśmy w pokoju, znacząco puszcza do starca oko, proszę przekazać to ode mnie sprzątacze, gdy już oporządzi pokój.

— *Sí señor* — karzeł znów szczerzy żółte zęby i biegnie otworzyć przed nami drzwi.

Na zewnątrz oślepia słońce i uderza w nas fala wilgotnego ciepła. Próg hotelu Mirador to jakby wrota do innego świata. Wkładam szybko okulary z filtrem fluorescencyjnym, przecieram oczy, bo zmiana natężenia światła jest bolesna. Auto zostawiliśmy pod betonowym dachem, w należącym do hotelu boksie, mdli mnie od zapachu grillowanego na ulicy

mięsa, że też sprzedawca tortilli musiał ustawić się pod samym wejściem do garaży. Obydwoje nie jemy mięsa, bo mięso śmierdzi trupem. Zjadanie trupów to najlepszy sposób, żeby samemu stać się trupem.

Nasze auto obsiadły oczywiście brudne dzieciaki, nie mogło być inaczej. Od tygodnia, odkąd mamy złotego mercedesa, wszędzie to samo. Budzimy niezdrową sensację, najwyższy czas pozbyć się go i przesiąść w coś mniej ekstrawaganckiego. Oczywiście mercedes był pomysłem Ricarda, w poprzedni piątek skradł go we Flores, w Gwatemali, jakiemuś ministrowi. Sportowa limuzyna, dopiero co weszła na rynek, całkiem fajna zabawka, tylko zbyt rzucamy się w oczy. Minister pewnie dostał go jako łapówkę od któregoś ze współpracujących z establishmentem karteli narkotykowych, wóz nawet nie miał numeru rejestracyjnego. Prawdopodobnie nigdzie nie zarejestrowany, nieopodatkowany, nieubezpieczony, szukaj wiatru w polu. Ale kto szuka, ten w końcu znajduje. Zdecydowanie czas najwyższy by się go pozbyć.

Ricardo jest jak dziecko, teraz zakradł się i zaskoczył brudnego chłopaka, który wlaź na maskę. Trzyma go właśnie za kołnierz i przystawia mu do głowy lufę Magnum 44. Mój braciszek uwielbia przedstawienia. Chłopak wybałusza przerażone oczy i błaga o litość, widzę, że jego kolega posikał się ze strachu i stoi jak sparaliżowany w żółtej kałuży moczu. Reszta szczeniaków uciekła. Ricardo robi groźną minę, odsuwa chłopcu pistolet od głowy.

— Tym razem dostaniesz tylko nauczkę, strzelę w kolano — mówi mu i celuje. Chłopak niemal mdleje ze strachu, a Ricardo wybucha śmiechem, naciska języczek spustu i pistolet tryska chłopakowi w kolano strumieniem wody. Uwielbiam poczucie humoru i gadżety mojego brata.